



Małgorzata Strękowska-Zaremba
ilustracje – Joanna Zagner-Kołat

Małgorzata Strękowska-Zaremba
Filipek i rodzina

© by Małgorzata Strękowska-Zaremba
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka i ilustracje:
Joanna Zagner-Kołat

Korekta: Lidia Kowalczyk,
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

Wydanie III
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-374-7

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Raperom:
Filipowi i Łukaszowi

IDZIEMY DO PRACY



Gdybym miał opowiadać o całej rodzinie, nigdy bym nie skończył. Dlatego opowiem tylko o tych, których lubię, i o tych, których nie lubię.

Najbardziej lubię siebie.

Urodziłem się, ponieważ mama nie mogła znaleźć pracy. Kiedy mi o tym opowiada, od razu zapewnia, że mnie kocha, i że tata też mnie kocha, chociaż on znalazł pracę bez mojej pomocy. Ale mamie się przydałem.

To było tak.

Ci szefowie, u których mama szukała pracy, pytali ją: czy ma dużo czasu, żeby pracować o każdej porze dnia i nocy, czy ma doświadczenie w pracy i czy ma odchowane dzieci. Mama miała wszystko z wy-



ODCHOWANY
FILIPEK!

jątkiem odchowanych dzieci. Któregoś dnia powiedziała: „Niech szlag trafi taki świat!” i postanowiła odchowić sobie dziecko, któremu razem z tatą dali imię Filipek, a nazwisko Zaskroniec.

Bardzo szybko zostałem odchowany. Szefowie, u których mama znów szukała pracy, nie lubią małych dzieci. Przyjęli ją dopiero wtedy, gdy dziadek Zbyszek, tata mojego taty, wszedł na niezabezpieczony kabel elektryczny i o mało nie upiekł się na skwarę, bo dziadek przewodzi prąd tak samo jak kable w ścianie. Dziadkowi powiedzie-



li, że powinien skakać z radości, ponieważ cudem przeżył, i zabronili mu przychodzić do pracy.

Mama obawiała się, że dziadek znów podłączy się do prądu, dlatego codziennie zostawiała mnie u niego, żebym go pilnował. To wtedy szefowie uwierzyli mamie, że jestem odchowany i w końcu ją przyjęli. Od tamtej pory bałem się, że kiedyś sprawdzą, czy naprawdę jestem odchowany. Nie chciałem, żeby z mojego powodu mama straciła pracę.

Któregoś dnia mama powiedziała, że zabierze mnie ze sobą do biura, ponieważ dziadek już swoje ze mną wycierpiał, w szkole panuje grypa, a tata znów jest w delegacji, bo zawsze wyjeżdża, kiedy jest najbardziej potrzebny. Zaniepokoiłem się.

– Jutro będziemy przenosić biuro z szesnastego piętra na piętnaste. W takim bałaganie nikt cię nie zauważy – uspokoiła mnie mama. Dodała, że jej znajoma, pani Ania, też przyprowadzi swoje dziecko. Jej mąż kilka lat temu pojechał w delegację i do tej pory go nie ma.

Przestałem się martwić, a nawet się ucieszyłem.

Następnego dnia rano cieszyłem się nadal.

– Poznam nowego kolegę! – wołałem i podskakiwałem na łóżku, aż mama się obudziła. – Idziemy do pracy! – przypomniałem jej.

Gdzie jak gdzie, ale do pracy nie wolno się spóźniać. Dobrze o tym wiem.

Zaspana mama zapytała:

– Tak? – i zaraz sobie odpowiedziała: – No tak, nie mam cię z kim zostawić – i posmutniała troszeczkę.

– Będzie super, zobaczysz! – starałem się dodać jej odwagi. Praca w firmie, z której wyrzucają za posiadanie nieodchowanych dzieci, może zniechęcić do wszystkiego.

– Byle nie za bardzo super – odpowiedziała niepewnie.

Wsiadliśmy do samochodu. Mama długo rozcierała ręce, jakby się bała poruszyć kierownicą. Chciałem ją ośmielić, więc powiedziałem:

– W imię Ojca i Syna, jedziemy!

Mama mojej mamy, babcia Danuta, zawsze tak mówi, gdy wsiada do naszego samochodu, i jak dotąd nie mieliśmy żadnej stłuczki, nawet z nietrzeźwym kierowcą.

– Chociaż ty mnie nie denerwuj! – syknęła mama, która zawsze kłóci się z babcią Danutą, mimo że nigdy nie miała stłuczki, gdy ją wiozła.

– Ale jedziemy? – zaniepokoiłem się, że mama stchórzy i jednak zostawi mnie u dziadka Zbyszka.

Ruszyliśmy.

Mama milczała całą drogę, jakby była na mnie zła. Zacząłem nucić hymn FC BARCELONY, którego nauczył mnie tata, zanim mama nauczyła mnie chodzić. Powtórzyłem parę razy:

*– Czerwono-niebiescy niosą na wietrze
bojowy krzyk.
Nazywamy się, każdy wie jak,
BARCA! BARCA! BAAAARCA!!!*

Chciałem, żeby mama ze mną pokrzyczała. Ale nie pokrzyczała. Zrobiło mi się smutno. Bardzo wcześnie zosta-



łem odchowany, dlatego rzadko widuję mamę, a teraz, gdy wreszcie jesteśmy razem, ona milczy i się dąsa. Jeszcze bardziej posmutniałem, gdy mama wreszcie się odezwała:

– Dziecko mojej znajomej, pani Ani, jest grzeczne, rozsądne i nad wiek rozwinięte – uprzedziła mnie, jakbym ja nie był grzeczny, rozsądny i nad wiek rozwinięty.

A kiedy zaparkowaliśmy i wysiedliśmy, zapytała:

– Będiesz grzeczny, Filipku? – i pogłaskała mnie po czapce, i pocałowała, i poprawiła mi czapkę, i znów pocałowała.

– Będę – obiecałem przestraszony. – Nad wiek rozwinięty też będę – dodałem, żeby nie miała wątpliwości, że postaram się zachowywać jak grzeczne, rozsądne i nad wiek rozwinięte dziecko.

– Jeśli spotkamy mojego szefa, grzecznie powiedz: „dzień dobry” i nie mów nic więcej, dopóki ci nie pozwolę – poprosiła.

Kiwnąłem głową. Bałem się już tak strasznie, że nie mogłem głosu z siebie wydobyć. Wystraszyłem się, że

nie uda mi się powiedzieć „dzień dobry” i mama wyleci z pracy jak mój kumpel Hirek od pielęgniarki, gdy udawał, że ma gorączkę. Świrus włożył termometr do parującej kawy, żeby mieć gorączkę. Pielęgniarka akurat rozmawiała przez komórkę i odwróciła się plecami do pacjenta, czyli do Hirka. Termometr pękł, Hirek schował jego resztki do kieszeni, a pielęgniarka o mało nie napiła się kawy z trującą rtęcią. Potem w naszej szkole była zbiórka pieniędzy na elektroniczne termometry.



Dziadek Zbyszek mówi, że mieliśmy szczęście. Gdyby pielęgniarka wypila zatrutą kawę, musielibyśmy się zrzucić na jej pogrzeb, a Hirka zamęczyłaby opieka społeczna.

– Idziemy! – Mama była błąda, ale nadrabiała miną.

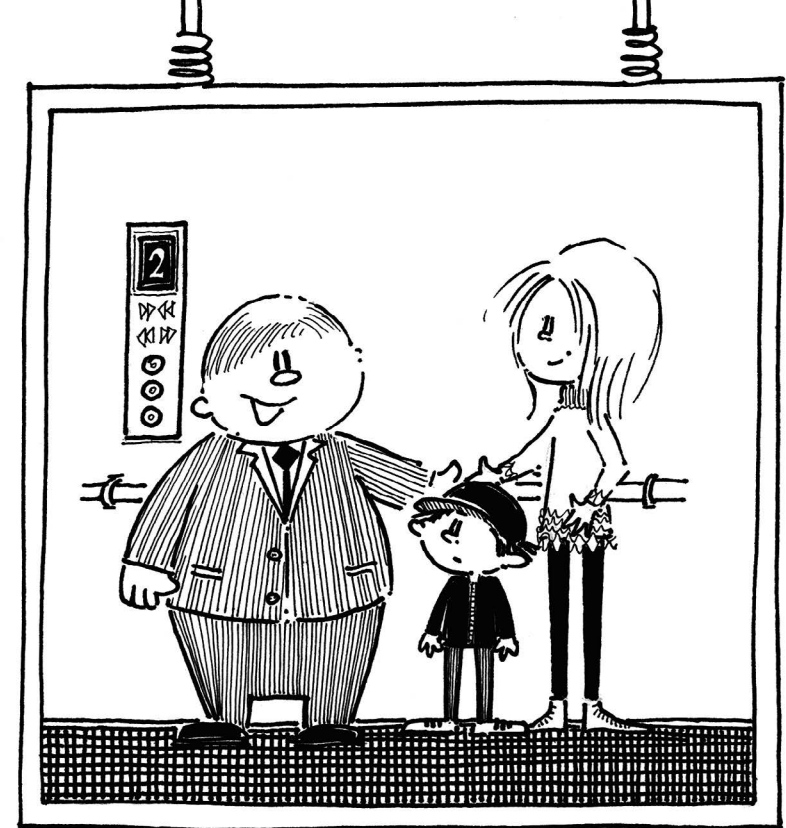
Powlokłem się za nią ze zwieszoną głową.

– O, kolejny Czerwony Kapturek! – zawołał uradowany ochroniarz, gdy weszliśmy do dwudziestopiętrowego biurowca. – Przybij piątkę!

I przybił ze mną piątkę. Serio!

Nie jest źle – pocieszyłem się. Ale ochroniarz to przecież nie szef mojej mamy, zobaczymy, czy on też się tak ucieszy z mojej wizyty.

Wsiedliśmy do windy i nacisnęliśmy guzik z numerem szesnaście. Winda zatrzymała się na drugim piętrze, drzwi się otworzyły i zobaczyłem wąsatego pana w garniturze, grubego jak baryłki czekoladowe z alkoholem.



Na jego widok mama mocniej ścisnęła moją rękę i spochmurniała. Wyglądała jak Aleks z naszej klasy, który wszystkim obiecuje, że zrobi z nich mokrą plamę, potem rozetrze mopem po podłodze, a na koniec zdezynfekuje podłogę żrącym płynem.

– Co za spotkanie! Witam piękną panią Joannę! – Baryłka z alkoholem wziął mamę za prawą rękę i przyciągnął sobie pod nos.

– Mama myła ręce – zapewniłem, bo przecież widziałem rano, co robiła w łazience.

Grubas pocałował mamę w rękę i mrugnął do mnie.

– Żartowniś. To pani malec? Grypa, ospa czy świnka w przedszkolu? – zapytał, wciąż się uśmiechając i trzymając rękę mamy, aż musiała mu ją wyrwać.

– Grypa w szkole – chłodno odpowiedziała mama.

– Grypunia w szkole? Tak? – Baryła pochylił się nade mną. – I dziubdzius przyszedł do nas? Nie ma sprawy. Dziś pomożesz mi zarządzać firmą – wydurniał się, a mnie zrobiło się zimno ze strachu. Ta czekolada z alkoholem to na pewno szef mojej mamy! To padalec! Niby się uśmiecha, a nazywa mnie „malcem”, „dziubdziusiem” i wmawia, że chodzę do przedszkola. Już ja mu udowodnię, że jestem odchowany i grzeczny!

– Dzień dobry. – Przypomniałem sobie, co miałem powiedzieć, i zamilkłem, bo o milczeniu też sobie przypomniałem.

Szef mamy wypytywał mnie o wszystko: jak mam na imię, do której klasy chodzę, czy lubię swoją szkołę i czy mam już dziewczynę. Serio! Wytrzymałem. Aż do szesnastego piętra nie odpowiedziałem na żadne pytanie. Dziadek Zbyszek byłby ze mnie dumny. Zawsze mówi, że przeżył w Polsce tyle lat, bo wypytywany milczał jak grób nawet wtedy, gdy zmuszano go do biegania ścieżkami zdrowia.

Dziadek nie lubi biegać, dlatego złości go babcia Niusia, mama mojego taty, która ciągle jest w biegu. Zresztą teraz nie ma ścieżek zdrowia, tylko ścieżki rowerowe, a na nich biegacze przeszkadzają.

Czekoladowa baryła patrzył na mnie jak na zepsuty samochód.

– Bardzo nieśmiałe dziecko, wręcz chorobliwie nieśmiałe. W naszych czasach sobie nie poradzi. Moim zdaniem trzeba je leczyć, piękna pani Joanno.

Sam się lecz! – pomyślałem, ale milczałem jak grób. Już ja wiem, co ta czekoladowa baryła planuje: ja pójdę do lekarza, a ona wyrzuci mamę z pracy, bo chorych dzieci też nie lubi! Słyszałem o takich padalcach od babci Niusi, która pomaga kobietom pokrzywdzonym przez podobne baryły z alkoholem w czekoladzie.

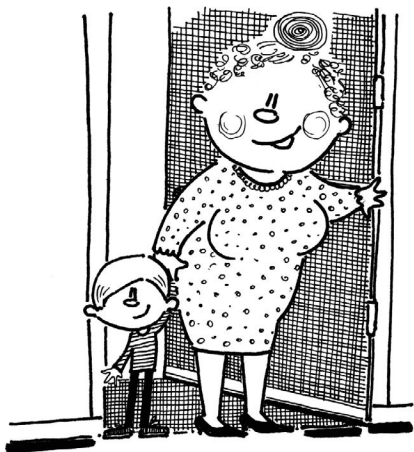
Uff, wreszcie dojechaliśmy! Z ulgą wyszedłem na korytarz. Zaraz spotkam grzeczne, rozsądne i nad wiek rozwinięte dziecko znajomej mamy i będziemy grzeczni, rozsądni i nad wiek rozwinięci na złość szefowi, który nie lubi małych dzieci.

Zza uchylonych szarych drzwi wyszła pani Ania. Jej policzki były jak dwa pączki z nadzieniem różanym, aż mi się jeść zachciało, tym bardziej że rano nie mogłem niczego przełknąć, więc byłem bez śniadania. Trzymała za rękę chudego blondasa, niższego ode mnie o głowę.

Phi, też mi nad wiek rozwinięty. Gdzie on był, jak ludzie rośli?

– Co za urodzaj! – niby to ucieszył się gruby szef mamy. – Czyżby nasza firma otworzyła przedszkole bez mojej wiedzy? – zapytał nie wiadomo kogo, po czym zwrócił się do znajomej mamy:

– No, moja pani, co tu się dzieje?!



– Szefie, masakra z dziećmiakami, taki dzień się trafił – trąkotała pani Ania, chichocząc po każdym słowie. – Dobrze, że to na dziś wypadło. I tak nie da się pracować przez te przenosiny biur. Adamek jest trochę młodszy od Filipka, ale jeden drugiego przypilnuje i będzie dobrze. Pan się o nic nie boi.

Gruby szef w czekoladzie z alkoholem skrzywił się, popatrzył na mnie, na Adamka i powiedział:

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Panowie – wziął nas za ręce – idziemy do mojego gabinetu!

Mama uśmiechnęła się do mnie i kiwnęła zachęcająco głową. Znaczyło to, że nie muszę dłużej milczeć. Ulżyło mi, jednak nadal zamierzałem być grzeczny, rozsądny i nad wiek rozwinięty. Nawet bardziej niż „trochę młodszy” Adamek.

Weszliśmy do ogromnego gabinetu grubego szefa. Na środku stało czarne biurko, większe od mojego pokoju. Szef usiadł na skórzanym fotelu obrotowym. Zapadł się w nim tak głęboko, że zza biurka widać mu było tylko głowę.

Stanęliśmy grzecznie na wprost szefa i przyglądaliśmy mu się jeszcze grzeczniej. Wtem jego głowa zaczę-

ła jechać w górę. Oprócz głowy zobaczyliśmy ramiona i dłonie. W jednej dłoni trzymał pilota.

– Widzieliście? – zapytał uśmiechnięty szef. Nacisnął guzik na pilocie i momentalnie opadł w dół. Teraz widzieliśmy tylko nos i oczy. Nawet zęby miał pod biurkiem.

Znowu nacisnął guzik i pojechał w górę razem z fotelkiem.

– Super, nie?! – chichotał i machał krótkimi nogami. – Fotelik na pilocika! Takiego jeszcze nie widzieliście, dziubdziusie! Cyk, naciskamy guziczek... i w dół!, cyk... i w górę! – śmiał się jak Cezary J. z naszego osiedla, nazywany przez nas półwariatem, ponieważ jeszcze nie wiemy, czy jest wariatem, czy tylko go udaje.

Popatrzyłem na Adamka. Chyba i on zna naszego półwariata, bo miał taką samą minę jak ja.

I dalej gapiliśmy się grzecznie na baryłę.

– Który pierwszy na fotelik?! – wyciągnął w naszą stronę rękę z pilotem.

O nie, nie ruszę się pierwszy! – W porę zrozumiałem, co ta czekolada z alkoholem zaplanowała. Chce nas sprowokować. Ten, który pierwszy zachowa się jak małe dziecko i polecą na fotel, tego mama wyleci z pracy.

– Można się na nim kręcić w kółeczko! – zachęcał szef. Odepchnął się nogami od biurka i zaczął kręcić jak na karuzeli. – Widzicie? I w lewo... fru!, i w prawo... fru! I w lewo, w prawo, w lewo...

Maurycy z naszej klasy też tak się kręcił na krześle zamiast pracować. Pani powiedziała jego mamie, że jest niewyżytym dzieckiem i wymaga konsultacji u psychologa.

– W lewo, w prawo, fruuum! – krzyczał niewyżyty szef. Jeżeli zjadł duże śniadanie, to zwymiotuje i każe nam po sobie sprzątać – zaniepokoiłem się. Sam kiedyś zjadłem za dużo i obróciłem się ze sto razy, więc wiem, czym takie obracanie się grozi.

Nagle jego fotel zrobił: pruu! i się zatrzymał.

– Fotel się zepsuł. Użyto go niezgodnie z instrukcją – zauważył rozsądnie rozsądny Adamek.

– Obawiam się, że tak – rzekł brzuchaty szef, któremu odechciało się śmiać. Wygramolił się z fotela i poszedł po krzesło. – Nie ma to jak solidny mebelek. Te nowinki techniczne zbyt szybko się psują – powiedział i usiadł na krześle. – Czym by tu was zająć? Komputerek już spakowany, hm... – mruknął do siebie. Zrobił to specjalnie,



chciał, żebyśmy przyznali, że trzeba się nami zajmować jak małymi dziećmi.

– Nami nie trzeba się zajmować. Czy możemy usiąść? – spytałem grzecznie.

Pajac jeździ sobie na fotelu od rana, a my stoimy!

– Jasne! Możecie nawet turlać się po podłodze. Na pewno w domu wam nie wolno. Te stare zgredy zabraniają – mrugnął do mnie, ale nie odmruknąłem. Nie będę mrugać do człowieka, który nie lubi małych dzieci. W dodatku nie wiedziałem, co to są te „stare zgredy”.

Usiedliśmy na krzesłach pod ścianą i grzecznie patrzyliśmy na szefa. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął kilka kartek, potem wpisywał coś do notatnika. Ale długo nie wytrzymał. Nagle zaczęło mu wszystko przeszkadzać. Nawet to, że siedzimy bardzo grzecznie i wlepiamy w niego oczy jak te durne barany, chociaż nie jest kinem domowym ani nawet wyświetlaczem w telefonie.

Na pewno wymaga konsultacji u psychologa.

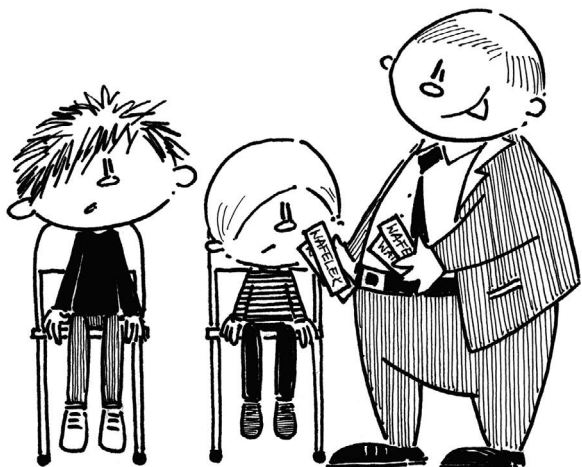
– Co tak patrzycie, dziubeczki? Nudzicie się? – zapytał podstępnie.

Przecież widzi, że się nudzimy, padalec. Powiemy, że tak, a on opowie nam bajeczkę i podaruje lizaczka jak niemowlaczkom, a potem wyrzuci nasze mamy z pracy!

– Nie, proszę pana! – odpowiedzieliśmy równocześnie.

Przez chwilę pisał, ale znowu przerwał. Wytał pot z czoła. Zerknął na nas. Znowu wytarł pot z czoła. Na pewno jest niewyżyty jak Maurycy.

– Może wolicie pogadać? – Chciał nas naciągnąć na zwierzenia.



– O czym? – spytał bardzo grzecznie grzeczny Adamek.
 – Może o spółniczkach? He, he... – Myślał, że uwierzymy, że facet chce gadać o spółniczkach.

Otworzył jeszcze jedną szufladę. Wyjął coś, podszedł do nas i machnął nam przed nosem pożywnymi batonikami Pokusa smakowa obłana karmelem. Przełknąłem ślinę. Gdybym mógł, kopnąłbym go ze złości. Za batoniki Pokusa smakowa obłana karmelem oddałem tacie breloczek z herbem BARCELONY i dołożyłem do tego szalik polskiej reprezentacji, zwłaszcza że znowu przegrała.

A to padalec! Nie lubi małych dzieci, ale się na nich zna.

Ostatkiem sił wsunąłem ręce pod pupę i się zaparłem. Urodziłem się po to, żeby mama dostała pracę, nie po to, żeby ją straciła – przypomniałem sobie.

A ta baryła z alkoholem machała i machała nam przed nosem batonikami dla nieodchowanych dzieci!

Adamek ani drgnął, łzy same popłynęły mu z oczu. Biedny maluszek, chociaż nad wiek rozwinięty. Ja wytrzymałem dłużej, ale też dołączyłem do niego z głodu i z pragnienia Pokusy smakowej oblanej karmelem.

Kiedy mama zajrzała do pokoju, płakaliśmy na cały głos, a gruby szef mamy wciskał nam batony do kieszeni.

– Pan oszalał?! – krzyknęła oburzona mama. Wzięła nas za ręce, odprowadziła Adamka do jego mamy, a mnie zabrała do łazienki. Po chwili umyty i wycelowany wszedłem z nią do wielkiego biura na samym końcu korytarza.

– Filipku, poznałeś już szefa pani Ani, a teraz poznaj mojego. Przywitaj się grzecznie.

Zza pudeł z dokumentami wyszedł chudy jak Hirek, zezowaty, okrościały małolat z zielonymi włosami, w T-shircie i szaliku na szyi.

– Hejka! – powiedział i wyciągnął do mnie rękę na powitanie.

To jest szef mamy?! Tyle godzin męczyłem się z czekoladową baryłą na darmo?!

Tego już było za dużo! Rozpłakałem się jak wyjec spod piątki z naszego bloku, który jest dwutygodniową dziewczynką o imieniu Aurelia.

